

## ZOFIA SIWEK

ur. 1937; Bełżyce



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, ulica Niecała, mieszkańcy ulicy Niecałej, UNRRA, PCK, pobyt na Majdanku, pan Siwiec, ulica Niecała 10, pan Czerny, państwo Boczkowscy, pan Kałuża, szewc, pan Grudziński, pani Maglarka, pan Kamiński, rodzina Malinowskich, pani Pińdzia, relacje między sąsiadami

### Moje wspomnienia o mieszkańcach ulicy Niecałej

Sąsiedzi, to byli różni. Przychodzili, przyjeżdżali. Jedna rodzina, to przyjechała z Wąbrzeźna. Zwłaszcza ta pani tak zaciągała po niemiecku jeszcze bardzo – właśnie matka tych koleżanek, które mnie przedrzeźniały. Była też jedna rodzina, która przyjechała z Kresów. To była taka liczna rodzina, ten pan pracował w PCK. Bo nie powiedziałam jeszcze, że obok było pogotowie ratunkowe. On był sanitariuszem i uważał, że jak jest sanitariuszem, to już bardzo wiele wie, ma dużą wiedzę medyczną, jak lekarz. Był pacjent, który miał złamaną chyba nogę, czy rękę i lekarz mówił: „No to zabieramy pana do szpitala”. A ten sanitariusz mówi: „Tak, noga złamana. Trzeba do szpitala”. Zawsze potwierdzał diagnozę lekarza. PCK dostawało paczki z UNRRA. Wiem, że ta rodzina, ponieważ tam było siedmioro dzieci, a może też z tej racji, że ten pan pracował w PCK, w pogotowiu ratunkowym, dostawali często te paczki. Nie wiem, czy ktoś jeszcze z naszego podwórka je dostawał, bo u nas [w domu] nigdy nie było. Gdy przyjeżdżały te paczki z UNRRA, na początku [19]46 roku, to przywozili je żołnierze amerykańscy i wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam murzyna. Murzyn był tym żołnierzem amerykańskim. No, to taka ciekawostka.

Była także jeszcze jedna ciekawa rodzina, właściwie sama matka z dwojgiem dzieci, już takie kilkunastoletnie te dzieci były. Okazało się, że ta pani mieszkała przy ulicy Wieniawskiej, a Wieniawę całą Niemcy wysiedlili, bo tam były ładne domy. I ją też wysiedlili i tu przyszła, bo już tu były te puste mieszkania po Żydach. Ta pani siedziała na Majdanku. Nie wiem za co - czy z łapanki, czy może za handel jakiś. Siedziała na Majdanku i mojej mamie opowiadała kiedyś, już długo po wojnie, że siedziała w komorze gazowej. Całą noc tam siedziała i rano ją wypuścili. Ja tak słuchałam, ona to opowiadała mamie i to bardzo przeżywała, gdy to opowiadała. Tak się trochę zastanowiłam, bo już parę książek przeczytałam o obozach

koncentracyjnych i to wydało mi się to takie nieprawdopodobne, że otworzyli komorę, wypuścili ludzi. Ale niedawno pożyczyłam sobie książkę, [w której autorka] młoda dziewczyna, Żydówka, opisywała właśnie tę sytuację, że jak była na Majdanku, to zagonili ludzi do komory gazowej, trzymali ich cały dzień i całą noc, a rano wypuścili. A powód był taki, że po prostu nie dowieźli cyklonu B. I to, co mi się wydawało, że sąsiadka zmyśla, może fantazjuje, okazało się prawdą. Kiedyś córka tej właśnie pani, przebiła mi piłkę na drucie kolczastym - to była jakaś taka piłka gumowa. Rozpacz była wielka, ale nikt od tej pani nie żądał odkupienia piłki, bo po prostu nie miałyby pieniędzy. Ona prowadziła kiosk z gazetami przy ulicy Niecałej. Potem go zlikwidowali i nie było już żadnego kiosku na naszej ulicy.

Był taki sąsiad, nazywał się Siwiec. Miał sklep na Niecałej, pod dziesiątką. Czym podpadł władzy, że wsadzili go do więzienia? Za co siedział? Chyba po prostu chcieli zlikwidować handel. Żeby on ten sklep zostawił. Rodzinę, to znaczy żonę i chyba dwóch synów tam było, przesiedlili na ulicę Lubomelską. Natomiast, jak pan Siwiec wrócił z więzienia – długo nie siedział - to wszyscy mieszkańcy witali go przy bramie. I drugi jeszcze sąsiad, pan sędzia Czerny. On też został zaaresztowany, siedział w więzieniu i to dosyć długo. Pewnie jakaś sprawa nie tak była przeprowadzona. Ale też, gdy już doszły nas słuchy, że on dzisiaj wraca, to wszyscy do bramy wyszli i witali go. Pan sędzia długo nie pożył, bo chyba mu to więzienie pomogło. Rodzina pana sędziego, natomiast, mieszkała tam cały czas. To była taka bardzo dystygowana rodzina, odbiegająca od reszty. To była elita. I pan sędzia i te panie - matka, żona i córka. A zwłaszcza ta babcia, starsza pani, zawsze była elegancko ubrana, w jakieś koronki, takie eleganckie suknie. Tej córce nie pozwalali bawić się z nami, to już było inne towarzystwo. Bo my, jak bawiliśmy się na tym podwórku w sklep i potrzeba było jakieś ciasto, no to ciasto było z błota robione. Taki to był handel! A ta Krysia tylko stała na balkonie i na nas patrzyła. Nasza korzyść była taka, że byliśmy dziećmi takimi kontaktowymi, ze wszystkimi mogliśmy rozmawiać, a Krysia była wyobcowana i taka została. Dziwne rzeczy w tym domu się działy.

Państwo Boczkowscy, to też taka rodzina bardzo dystygowana, zwłaszcza ten pan, bo ta pani Boczkowska, to taka trochę krzykliwa była, ganiała nas, uciszała na podwórku,. Ona była taką ostrą kobietą, ale też była taka bardzo fajna i mimo, że na nas ciągle krzyczała, to jednak na wiele nam pozwalała. Koło jej okien była ławka, w takim kąciuku i tam bardzo dobrze nam się siedziało, a jak to dzieci – darłyśmy się, wygłupiałyśmy się. A ona strofowała nas trochę, ale to było strofowanie takie przyjazne, to nie były krzyki. Mieli dwóch synów, jeden był po technikum, po budowlance. Chyba pracował w Zarządzie Budynków Mieszkalnych, a z zamiłowania był ornitologiem, ale w [szczególny] sposób. Mieszkał przy ulicy Lubartowskiej, to było bardzo duże mieszkanie. Jeden pokój był bardzo duży, drugi średni, trzeci mały. Ja tam chodziłam, bo jego żona była krawcową. Tam gdzie on spał, to był osobny pokój, w którym miał całą ścianę od dołu do sufitu z klatkami kanarków. Oczywiście, on się tymi kanarkami nie zajmował, tylko żona. Natomiast tam, gdzie on miał swój

pokój, to znowu miał akwaria, kilka akwariów. Też raczej żona się opiekowała tym wszystkim, tym zwierzyńcem. Więc to taki ornitolog z zamiłowaniem. Mieli trójkę dzieci, więc te dzieci małe i ten zwierzyniec, no i jeszcze krawcową była, więc miała roboty dosyć dużo. A drugi syn był inżynierem. Nie wiem czy sanitarnym, czy budowlanym.

Mieliśmy dozorcę, [mieszkał] w takim domku, w ogródku i też pracował w pogotowiu ratunkowym. On taki się urodził, że stopy miał tak [skierowane] do środka i jak szedł, to musiał tak te nogi przestawiać [jedną przed drugą]. Był już dorosłym człowiekiem, więc tak ze czterdzieści lat albo i więcej męczył się z tymi nogami. Ale jak zaczął pracować w pogotowiu ratunkowym, to zrobili mu operacje i już chodził normalnie.

Mieszkał tam też pan Kałuża. Był samotnym człowiekiem i też był sanitariuszem. Jak się okazuje trzech sanitariuszy z pogotowia ratunkowego [mieszkało na naszej ulicy]. Gdy w Polsce wybuchła epidemia [choroby] Heine-Medina, to tylko on jeździł po tych chorych. Inni sanitariusze bali się, bo to była choroba zakaźna. I zawsze on jechał zabierać te dzieci chore. A jak mówili mu, że naraża się, że to niebezpieczne, to on odpowiadał, że jego nic nie weźmie. No i faktycznie nie czepiła się jego ta choroba. A poza tym ta choroba, to chyba atakowała dzieci i młodzież, a nie dorosłych. To był taki, taki bardzo fajny człowiek, dobry, ciepły. I on zawsze pytał mnie, czy ja przyjdę na jego pogrzeb, jak on umrze. Ja mówiłam, że tak, że przyjdę na pewno. „I jeszcze kupię panu wianek blaszany, żeby panu długo brzęczał.” Pan Kałuża umarł dosyć szybko. Na pogrzebie nie mogłam być. Szukałam na Unickiej jego grobu. Był pochowany za pieniądze miasta. Dla tych ludzi, którzy byli chowani na koszt miasta była wydzielona działka. Nie mogłam go znaleźć, niestety, więc położyłam [kwiaty] na jakimś innym opuszczonym grobie.

Na naszej posesji była charakterystyczna postać i bardzo ważna osoba – szewc. Były trzy ogródki. Jeden duży ogród - pana Wierzchowskiego, drugi mały i jeszcze mniejszy, trzeci. Przy tym średnim ogrodzie stała budka szewca. Tam było jedno okienko, jak w tym wierszu – „Jedno miała okienko i jeden był wchód do niej”. Szewc miał [piecyk] - kozę, to w zimie sobie grzał i te buty reperował. Tam u tego szewca zbierała się cała nasza „elita”, były ciągłe narady, bo on był taki bardzo kontaktowy. Lubił popijać, ale to nie dlatego, chyba, że on wódkę lubił, tylko ci, co przychodzili uważali, że trzeba przyjść do szewca z wódką. On nie był taki, żeby był pijany, ale no, trochę popijał. Codziennie żona przychodziła do niego, chyba zabierała pieniądze, żeby nie przepił, ale nie robiła mu awantur, on był takim spokojnym pijącym. Był taką właśnie barwną postacią, bo też o wszystkim można było się u niego dowiedzieć. Przychodził pożyczać pieniądze do mojej mamy i jego charakterystyczne zawołanie to było: „Pani sąsiadko”. „Pani sąsiadko, może mi pani pożyczyć? To ja odrobię albo zreperuję coś.” Albo reperował, albo oddawał. No, bez tego szewca, to już było pusto na posesji. Już tak kogoś zabrakło. Chyba zmarło mu się.

A jeszcze pan Grudziński. Też był sanitariuszem w pogotowiu. Więc tu czterech już naliczyłam. Oni byli taką cichą rodziną. Kiedyś ich okradli. I to tak śmiesznie było, bo pan Grudziński mijał się ze złodziejem. On niósł tobołek z tymi rzeczami skradzionymi

z mieszkania i mijali się. Drugie mieszkanie okradzione, to było mieszkanie dozorczy. [Złodziej] przez okno wszedł. Ale co tam było u tego dozorczy kraść, jak to bieda była, co tam było kraść. No, ale chyba ktoś był jeszcze biedniejszy.

Było też bardzo ciekawe małżeństwo, tylko dwoje ich było. Ta pani bardzo niewyraźnie mówiła, twierdziła, że to dlatego, że bomba przy niej wybuchła. Mieli magiel i ona była nazywana Panią Maglarką, nawet nie wiem, jak właściwie się nazywała. Właśnie! Albo nie było w ogóle imion, albo nazwiska też niekoniecznie, bo był przydomek Maglarka i to było wystarczające. Jej mąż, natomiast, był takim panem dystygowanym, był taki bardzo elegancki, jak na te nasze warunki powojenne. On był po szkole lwowskiej – po lwowskiej szkole złodziejskiej! No, to był taki złodziej wyszkolony. Wiem, że wołali go, chodził i gdzieś w instytucjach otwierał kasy pancerne, te, których nie można było otworzyć po wojnie, bo klucze zgubiono. To wiem, że w jakichś instytucjach on był takim właśnie [specjalistą] od otwierania kas. Kasiarzem, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. No, to on miał zasady. Takie, złodziejskie zasady. Nie za bardzo ja je pamiętam, ale jedna była taka, żeby swojego nie okradać. Więc on mówił: „Nie bójcie się, tu nikt nie będzie okradziony”. Bo on nie pozwolił na to, żeby tu ktoś kogoś okradł. Ale jednak tych dwóch sąsiadów okradziono.

W naszym [domu] mieszkał też milicjant, pan Kamiński. Ale to taki spokojny, bardzo porządny człowiek był, przychodził na pogawędki. W tamtym drugim budynku mieszkała ta liczna rodzina Malinowskich, mieli siedmioro dzieci. Ale te dzieci były bardzo grzeczne i jakoś tam dawali sobie radę, nie wiem, może te paczki z UNRRA ich ratowały. Jeden najmłodszy, taki najładniejszy chłopak, wysoki, przystojny, miał kilkanaście lat, poszedł kąpać się, skoczył do wody, no i dostał paraliżu. Ale jakoś wyszedł z tego. Chodził, bardzo źle chodził, ale chodził. No, to też takie przykre zdarzenie było dla nas, mieszkańców.

Oj, była jeszcze taka kobieta, która hodowała kury i ona miała pomieszczenie, to było może takie, jak to? Większe to nie było, z jednym okienkiem. I ona te kury hodowała, nie wiem – czy dla towarzystwa, czy jadła? Może sprzedawała, raczej swoją, a kupiła obcą, bo swoją kurę jeść, no to nie wiem? Ale hodowała te kury i z tymi kurami spała. To pomieszczenie było wyściełone taką tekturą. Ona brała te tektury ze sklepu z opakowań i co dzień je tam pod pompą – bo pompa była na podwórku, myła, czyściła te tekturki po tych kurach i suszyła potem. Tam jej trochę dzieci dokuczały. Ona też nie miała nazwiska ani imienia, ale była nazwana Panią Pińdzią, nie wiem, dlaczego. To była taka niska kobieta. Fajna była. I ja kiedyś do niej powiedziałam, coś grzecznie chciałam do niej powiedzieć, zwrócić się do niej, o coś poprosić czy coś, i powiedziałam do niej: „Pani Pińdziu”. Bo ja myślałam, że to jest jej nazwisko. A ona przyszła [ze skargą] do moich rodziców. Wtedy dostałam od mojego taty i nie wiedziałam za co. Bo przecież ja do niej grzecznie powiedziałam, zwróciłam się, po nazwisku, jeszcze powiedziałam „pani”. Było mi bardzo przykro, bo nie wiedziałam, za co dostałam, bo tak na nią mówili wszyscy.

Doszłam do wniosku, że gdybym miała pisać o swoich sąsiadach, których teraz mam, to byłaby to tylko lista obecności, lista lokatorów. Nie umiałabym o sąsiadach powiedzieć tyle rzeczy takich ciepłych i miłych i śmiesznych, jak o tych ludziach z Niecałej, mimo, że tam mieszkałam tylko dwadzieścia lat, a tu już ponad czterdzieści. To jest taka różnica chyba między tamtymi ludźmi, a tymi. Tamci ludzie chcieli rozmawiać. Może, dlatego, że nie było telewizji, chcieli rozmawiać i przychodzić. Nie trzeba było się zapowiadać, wchodził, nawet nie pukał, wchodził, siadał i rozmawiał. Ja bardzo lubiłam te rozmowy, bo takie były ciekawe. Spisałam wszystkich moich sąsiadów, których w tym budynku zastałam w [19]46 roku, bo inni później się zmieniali - umierali albo się wyprowadzali. Ale ci inni, to już mnie nie interesowali. Naprawdę o każdym można było wiele napisać ciekawostek, śmiesznych rzeczy - no, na szczęście strasznych nie. Chociaż były takie wypadki. Dwóch sąsiadów naszych na Niecałej powiesiło się. Jeden nie wiem, dlaczego. A drugi, to przez pomyłkę. Bo myślał, że za jego przyczyną ktoś popełnił samobójstwo. I miał wrzuty sumienia, zdawało mu się, że on komuś krzywdę zrobił, a to była nieprawda. Poszedł na ulicę Ogrodową i powiesił się.

Ale, co charakterystyczne, zauważyłam, gdy już spisałam wszystkich, że nie znam imion ani jednego sąsiada. Tam się w ogóle nie używało się imion. Mówiło się: pani Malinowska, pani Lackowska, pan Kamiński, pan taki. Nie wiem dlaczego ludzie nie używali w ogóle imion, tylko po nazwisku mówili. Spisałam to, żeby pamiętać, no, bo tych sąsiadów nie ma. Nie ma. Tych mieszkań naliczyłam dwadzieścia kilka i o każdym z tych sąsiadów napisałam coś ciekawego, coś ciepłego.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-04-14, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Transkrypcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"